



na scenie

Bocianie jaja 4/6

Adam Mickiewicz, **Dziady**, reż. Eimuntas Nekrošius, Teatr Narodowy w Warszawie

Wscenie otwierającej Wiktoria Gorodeckaja w niebieskim trykocie marzy o dawnych, romantycznych czasach, wykonując tajemnicze gesty pod dwiema olbrzymimi makówkami. **Eimuntas Nekrošius** – uznany w Europie mistrz teatru litewskiego – „**Dziady**” Mickiewicza przerabia na „swoj” teatr: poetycki, nieznośnie przeladowany symbolami, rozgrywany w powolnym rytmie, ludyczny. Makówki, także w wersji z namalowanym upiornym uśmiechem, jak dynie na Halloween, stają się powracającym motywem przedstawienia, które jest 4,5-godzinną, momentami irytująco niejasną, a momentami zaskakująco ostrą i trafną satyrą na polskie „życie snem”. Snem nie tyle o wolności, co o wielkości, który bywa koszmarem, także – jak zdaje się nam mówić Litwin – dla sąsiednich krajów. Symbolem tej polskiej manii wielkości i władzy jest w spektaklu wileński pomnik Mickiewicza, przypominający rzeźby słowiańskich bogów, ustawiony nakazem generała Żeligowskiego, najeźdźcy Litwy.

Na pierwszym planie Guślarz – Marcin Przybylski

Sztywny, napuszony i ubrany w płaszcz pomnikowego Mickiewicza jest też Gustaw-Konrad Grzegorza Małeckiego. Wielką Improwizację zaczyna, obracając ręką wyimaginowaną starą płytę (słyszymy dźwięk), po czym zamienia we współcześnie brzmiący, prostacki targ o władzę. Gdy zasypia, diabły usypują mu trumnę z książek – dzieł Mickiewicza. Wystaje tylko ręka, która rozdaje autografy: dla Słowackiego, dla Cypriana, dla Andrzeja – tu chwila znaczącej ciszy, w której rozlega się śmiech widowni – Towiańskiego. Z morza kolejnych scen w pamięci pozostaje ksiądz Piotr (Mateusz Rusin), który w swojej mesjanistycznej wizji (w czerwonych rajtuzach) staje się polskim bocianem. Bocianimi jajami cyniczni Polacy zagrają w golfa, a potem zapakują je jako dar podczas – mordercza ironia reżysera – charytatywnej akcji „Na Wilno”. Całość zaś dzieje się na cmentarzu, z grobami-lejami po bombach. Guślarz (Marcin Przybylski) jest diabłem, współwięźniowie Gustawa-Konrada skandują jak kibole, a senator Nowosilcow (Arkaadiusz Janiczek) recytuje wczesną bajkę Mickiewicza o komarze, który, jeśli chce kąsać skutecznie i przeżyć, powinien, jako mała istota, robić to po cichu, bez zdradzającego brzęczenia.

ANETA KYZIOŁ

na scenie



Lemury na ringu: Łukasz Stawarczyk, Marcin Kalisz, Piotr Stramowski i Tomasz Schuchardt

Lemury z Madagaskaru 3/6

Beniowski, król Madagaskaru, według Juliusza Słowackiego, reż. Paweł Świątek, Teatr IMKA w Warszawie

Szóste urodziny Teatr IMKA Tomasza Karolaka uczcił inscenizacją poematu dygresyjnego Juliusza Słowackiego o Maurycym Auguście Beniowskim. Wieszcz z werwą i ironią oddał szaleństwo losów polskiego barona Münchhausena, który za udział w konfederacji barskiej trafił na Kamczatkę, skąd statkiem uciekł przez Japonię na Madagaskar. Podbił go i obwołał się królem wyspy, która niecały wiek później miała stać się zarodkiem mocarstwowych mrzonek II RP o zamorskich koloniach. W IMCE o polskim bohaterze opowiadają... madagaskarskie lemury. Anna Paruszyńska, Marcin Kalisz, Tomasz Schuchardt, Łukasz Stawarczyk i Piotr Stramowski (wszyscy naprawdę świetni), przebrani za lemury przebrane za polską XVIII-wieczną szlachtę (wszystko z przymrużeniem oka), relacjonują skomplikowaną, pełną dygresji, pojawiających się co chwila kolejnych postaci i opisaną z dużym dystansem historię zuchwałego, chłopięcego, trochę śmiesznego sarmackiego zawadiaki. Ten efekt obcości podkreśla dystans Słowackiego do ubrązowania historii i stawiania spizowych pomników bohaterom. Scena przypomina ring do kickboxingu, co może być aluzją do odwiecznej polskiej walki o sposób przedstawiania historii. Słabym punktem spektaklu Świątka jest to, że skomplikowana sama w sobie opowieść w wykonaniu lemurów, które kilometry tekstu inkrustują cwałowaniem na wielkich, dmuchanych piłkach, bieganiem, iskaniem się i kopulowaniem, staje się kompletnie niezrozumiała. Także pod koniec, gdy aktorzy odsłaniają ukryte pod warstwą ubrań poplamione krwią koszulki. AK



Trupa Wolanda w Warszawie: Michał Czachor (w tle), Mateusz Łasowski i Jacek Beler

Diabelskie sztuczki 4/6

Jolanta Janiczak, **Każdy dostanie to, w co wierzy**, reż. Wiktor Rubin, Teatr Powszechny w Warszawie

A gdyby diabelska trupa Wolanda zamiast w Moskwie lat 30. ubiegłego wieku zjawiała się we współczesnej Warszawie? Takie pytanie zadali sobie Janiczak i Rubin, i w odpowiedzi zrobili oryginalny spektakl, w którym widzowie zasiadają za olbrzymim okrągłym stołem – skojarzenia z początkami polskiej demokracji uzasadnione – oglądają chodzących po nim i wokół niego Wolanda (Michał Czachor), Helę (Klara Bielawka), Behemota (Mateusz Łasowski) i Korowiowa (Jacek Beler), są przez nich wciągani do akcji, częstowani alkoholem i papierosami, a przede wszystkim biorą udział w głosowaniach. Używając przycisków na pilotach, odpowiadają na pytania o zadowolenie z życia, poczucie przynależności do klasy średniej, wysokość zarobków, czy posiadanie oznacza wolność, czy miłość może trwać dłużej niż 10 lat... Odpowiedzi mają wpływ na przebieg i długość spektaklu, na który składają się także – świetne – filmiki, w których trupa Wolanda bada reakcje warszawiaków na niecodzienne zachowania oraz grany na żywo fragment „Mistrza i Małgorzaty”, którego tytułowych bohaterów nieoczekiwanie odnajdziemy na nagraniu z marszu KOD. Forma spektaklu generalnie działa, choć momentami nieco nuży, a performatywne zdolności aktorów i ich łatwość nawiązywania kontaktu z widzami zasługują na wielkie uznanie. Nie wiem, jak na państwa spektaklu, ale na moim najciekawsze było zderzenie ironicznego podejścia trupy Wolanda do, ubieżwłasnowolnionej 30-letnimi kredytami hipotecznymi, stołecznej klasy średniej z optymistycznym spojrzeniem widzów na swoje kredyty, zarobki i życie seksualne. AK